XIII Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Marii Komornickiej
Kozienicki Dom Kultury im. Bogusława Klimczuka - KOZIENICE 2015
Grzegorz Maria Pozimka - kategoria dorośli - proza - wyróżnienie

Eliasz

Stoję już trzeci tydzień na przejściu dla pieszych i przeprowadzam dzieci szkolne przez nieprzyjazną jezdnię, by mogły bezpiecznie dotrzeć do szkoły. Stoję i czekam, bo między lekcjami jest trochę luzu, dopiero w okolicach przerw robi się tłoczno. Wysypuje się gromadnie dzieciarnia ze szkoły i atakuje pasy nie patrząc na przejeżdżające samochody. Idą, biegną przed siebie. Na szczęście stoję na środku jezdni w odblaskowej kamizelce i większość kierowców respektuje ten żywy znak i zwalnia. Drudzy z piskiem opon podjeżdżają pod moje buty, czuję z tyłu ciepło rozgrzanego silnika i moc, która zaraz zawyje, jak opuszczę z ostatnim uczniem pasy. Czuję jak podmuch przesuwa moją piętę i stopą zahaczam o łydkę, na szczęście nie tracę równowagi i staję na dwóch nogach. Widzę tył odjeżdżającej czerwonej fury, pewnie kiedyś wjedzie w mój tyłek i to będzie moja wina.

Dzwonek oznajmiający koniec przerwy słychać na ulicy. Ambitniejsi uczniowie przyspieszają, pozostali na pasach moją jeszcze czas, przecież lekcja trwa czterdzieści pięć minut , to zdążą. Po chwili biegną ci, którzy w klatce schodowej w pobliskim bloku popalają co przerwę i wracają pobudzeni, by ożywić trochę szkołę, a zwłaszcza monitoring, który co godzinę ich wyławia. Ci przemieszczają się sprawnie. Jeszcze chwilę postoję może jeszcze jacyś z dalszego bloku będą biec nie zważając na żadne znaki.

Nareszcie cisza. Samochody płynnie poruszają się po jezdni. Stoję. Nagle mokre, białe w cętki gówno spada mi na część czoła, część policzka, przez całą odblaskową bluzę ze znakiem stopu, po spodniach na but. Po chwili dezorientacji odskakuję w bok, za późno, i podnoszę głowę do gry.

- Ty skurwysynie – krzyczę na cały głos patrząc do góry, do jedynej wrony siedzącej na gałęzi, bo to musi być na pewno samiec, a może to nie wrona tylko gawron? Może gawron.

Pod drzewem znajduję część gałęzi. Odłamuję od łodygi grubszy kawałek i rzucam w stronę ptaka. Oczywiście nie trafiam, bo liście zmieniają kierunek lotu kija, a gawron z zaciekawieniem patrzy co leci w jego kierunku.

- Kra, kra.

- Ty skurwysynie, jeszcze cię trafię. Wszystkie pióra ci z dupy powyrywam – Ucichłem, bo chodnikiem zbliżali się rozmawiający ludzie. Odwróciłem się do nich tyłem. Postałem jeszcze chwilę, by w szkole wszyscy rozeszli się do klas i wróciłem na dyżurkę mając nadzieję, że nikt mnie nie zobaczy w takim stanie.
- Witamy obsranego – krzyczy z daleka woźny i jedna spóźniona nauczycielka uśmiecha się z politowaniem – trzeba to zobaczyć na monitoringu.

Oprany i wyczyszczony następnego dnia wyszedłem znowu na przejście dla pieszych przy szkole uważając na przejeżdżające samochody i żeby nie stanąć pod drzewem. Na szczęście żaden ptak nie siedział na gałęzi i mogłem bezstresowo olewać zmotoryzowanych przypominając im kto ma pierwszeństwo na pasach. Jakaś mamuśka stanęła na boku pasów i całą przerwę tarasowała z jednej strony przejazd nie reagując na moje, ani kierowców uwagi. Dopiero po dzwonku na lekcję przytaszczył się ciągnąc za sobą plecak z książkami mały obywatel tego kraju i wraz z mamuśką odjechali odkorkowując przejazd.

Nagle przede mną spada kawałek skórki chleba. Przerażony i czujny odskoczyłem w tył myśląc, że poleci jeszcze coś płynnego, ale nie. Podniosłem głowę, a na gałęzi siedział gawron na pewno ten sam co wczoraj z bezczelnym wyrazem rozdartego dzioba.
- Kra, kra.
- To ty skur…- nie dokończyłem, bo przechodził jakiś facet co też spojrzał w górę i ominął miejsce na które mogło coś spaść z drzewa. Ptak przeskoczył na drugą gałąź. Podniosłem ten kawałek chleba i rzuciłem na pobliski trawnik.
- Kra, kra – odezwał się gawron. Spojrzałem na niego, a właściwie spojrzeliśmy razem na siebie z zaciekawieniem. Przeskoczył na następną gałąź , a ja odwróciłem się i wracałem do szkoły.
- Kra, kra.

Na następnej przerwie na drzewie nie było żadnego ptaka i tak do końca zajęć szkolnych, a więc do popołudnia.

Trzeciego dnia też po drugiej przerwie lekcyjnej, kiedy przeprowadziłem ostatnią grupę młodzieży i rozglądałem się, czy są jacyś notoryczni spóźnialscy, wtedy przede mną spadł kawałek chleba. Cofnąłem się przestraszony, ale już spokojniej zareagowałem niż dzień wcześniej. Spojrzałem do góry.
- Kra, kra .
- Co zaśmiecasz - krzyknąłem, a właściwie powiedziałem.

Gawron przeskoczył na niższą gałąź zapewne poruszony, że do niego mówię i głową poruszał, jakby nadsłuchiwał, co powiem. Podszedłem i podniosłem kawałek chleba.

- Kra, kra.

Popatrzyłem na okruch. Był miękki i świeży. Dzieli się ze mną – pomyślałem. Czyżby chciał mnie oswoić? Zaprzyjaźnić się ze mną? Przeprosić za to co mi zrobił kilka dni temu? Spojrzałam na niego, a on patrzył się na mnie bezustannie. Nie wiem nawet czy ptaki mrugają? Wahałem się, ale wybrałem okruch ze środka, wydawało mi się, że najbardziej czysty, bez obcych bakterii i włożyłem do ust.

- Kra. kra, gra – usłyszałem zadowolonego gawrona, kręcącego się na gałęzi. Podglądał mnie, czy przełknę ten kawałek chleba. Przełknąłem, jak przełyka się niedobrą tabletkę, która choć gorzka, to jednak uzdrawia. Resztki odrzuciłam na trawnik.

- Dzięki, kra, kra – podziękowałem, mówiąc do ptaka. Gawron z zaciekawieniem nadsłuchiwał, kręcąc głową co mówię do niego, ale ja już więcej do niego nie mówiłem. musiałem wracać do szkoły, gdzie zawsze po przerwie było coś do sprzątania.

Tym razem przyszedłem na przejście dla pieszych dopiero w poniedziałek. Weekend dla szkół i dla mnie na szczęście jest wolny. Ptak pewnie przylatywał codziennie, bo skąd miałby wiedzieć, taki mały móżdżek? Nie było żadnego pożywienia na jedni, ani na chodniku, ale to wróble mogły wydziobać leżące kęsy. Znów, po przerwie, przed godziną dziesiątą na gałęzi siadł mój gawron. Już zacząłem mówić mój, tak jak się mówi: mój pies, mój kot. a więc oswajamy się nawzajem. Z otwartego dziobu wypadł mu kawałek chleba.

- Kra. kra - Podniosłem. Był to kawałek świeżej bułki. Wiedziałem, że ptak czeka co zrobię? Spojrzałem na niego - Kra, kra.

Obejrzałem. Bułka była czysta. Ze środka wydłubałem okruch dla siebie i włożyłem do ust, tak by gawron to widział. Przeskoczył na niższą gałąź tańcząc na niej. Wyciągnąłem rękę i podałem mu resztę bułki. Chwila zastanowienia z jego strony, a może zawahania. Ruszał dziobem.

- Weź to dla ciebie - powiedziałem przesuwając się bliżej.

To chyba ruch w jego stronę sprawił, że przeskoczył na najniższą gałąź i dziobnął okruch bułki, i od razu cofnął się będąc czujny, obserwował co zrobię. Podałem mu drugi raz. Znowu dziobnął, ale tym razem już niczego się na obawiał z mojej strony, ani ja z jego. Na znak, że tak jest też skubnąłem kawałek ze środka, a pozostały podsunąłem pod dziób nowego przyjaciela. Tak więc oswoiliśmy się nawzajem. Przez następne dni przynosił mi coś z pieczywa, czy to skórkę chleba, kawałek bułki, czy też cząstkę pizzy. Zawsze coś co mogliśmy wspólnie zjeść, a każda taka konsumpcja zbliżała nas do siebie. Ja jadłem mu z dzioba, a on mi z ręki. Pewnego dnia wyciągnąłem rękę by go pogłaskać, ale nie chciał, może

było za wcześnie na taką poufałość, bo odskoczył na wyższą gałąź, może pomyślał, że chcę go złapać i że coś mu zagraża. Nie zrozumieliśmy się, a może przyjaźń bez dotyku?

Minęło kilka, kilkanaście dni i jesień już dawała się we znaki zrzucając liście, tak że doszedł mi jeszcze jeden obowiązek, zmiatanie liści z chodnika i przejścia przed szkołą, ale oczywiście w czasie przerw musiałem przeprowadzać dzieci i młodzież przez jezdnię. Ptak przyleciał jak zwykle po drugiej przerwie, ale tym razem w dziobie małą kiść bordowych winogron. Nie rzucił ich na ziemię, ale poczekał, aż wyciągnąłem rękę i spuścił mi na otwartą dłoń. Skosztowałem kulkę, była bardzo słodka. Podałem gawronowi trzymając kiść za gałązkę. Dziobnął najbardziej bordowy, aż sok wytrysnął. Dziobał tak długo, aż zjadł całą kulkę winogrona. Ta odmiana bardzo mi się podobała. Kulki słodyczy rozjaśniały coraz krótsze dni jesieni i spowodowały, że zacząłem codziennie wypatrywać mojego przyjaciela ponad drzewami mojego skrawka nieba. Zauważyłem, że coraz częściej zanim przysiądzie na gałęzi to długo krąży wokół szkoły.

- Kra, kra taka gra – znowu spuścił mi na dłoń kiść dojrzałych winogron. Nawet nie zastanawiałem się skąd bierze? Skubaliśmy sobie, aż zostawała goła gałązka i wtedy głowę kierował na mnie patrząc mi prosto w oczy.

W pewien zimny poranek spuścił mi na rękę większą kiść … i przypomniałem sobie, jak byłem na Południu, tam gdzie winogrona rosną przy ulicy, mały chłopiec podszedł do mnie i położył kiść dojrzałych owoców bym ugasił pragnienie. Spojrzałem w stronę skąd przyszedł, przy winoroślach stała spracowana kobieta, jego matka. Zza ogrodzenia życzyła mi uśmiechem smacznego, szczęścia, samych superlatyw, chyba wszystkiego na es i głośno się śmiała. Podszedłem by podziękować. Wiedziała, że potrzeba mi chłodu…

Ptak chyba zorientował się, że myślami odleciałem daleko stąd do miłego wspomnienia, bo zakrakał i nie wiem, czy dlatego, że chciał bym zwracał uwagę tylko na niego, czy dlatego, że zacząłem myśleć.

- Kra, kra, taka gra. Kra – Wzniósł się ponad drzewa i skierował w stronę słońca, potem zawrócił i dwa razy okrążył teren szkoły, by znów wylądować na gałęzi przede mną. Od razu dziobnął kulkę z sokiem. Coś zapewne chciał mi powiedzieć, bo głowę przechylał w moją stronę oczekując, że ja zrozumiem o co mu chodzi.

- Ja nie kumaty w mowie ptaków, a ty zapewne moich słów nie rozumiesz – powiedziałem, a on tak nadsłuchiwał, jakby ze mną się zgadzał – Ale myślę, że rozumiemy się.

- Kra, kra – odpowiedział.

Ostatni raz przyleciał w oszroniony już poranek po dniu Wszystkich Świętych w dziobie trzymał gałązkę tylko z dwoma winogronami. Zrozumiałem, że jeden dla mnie jeden dla

niego i tak żeśmy się podzielili. Nie rozumiałem jeszcze co mi chce powiedzieć, bo jak zjadł swoją porcję skoczył na moją dłoń i odbijając się wzleciał ku górze. Jak nigdy patrzyłem się za nim, a jego ptasi kształt zmniejszał się i zmniejszał, i dołączył do lecącego czarnego stada. Zmieszał się z nimi, a ja już go nie poznawałem. Czarna chmura gawronów odlatywała w stronę słońca, tak jak próbował mi pokazać kilka dni temu, gdy oblatywał nad szkołą. Dopiero po paru dniach, kiedy nie pokazał się ani razu, zrozumiałem, że odleciał przed zimą na południe.

Listopadowo się działo. Pierwsze przymrozki, Narodowe Święto Odrodzenia, a mnie koniec półrocznej umowy o pracę i koniec zapracowanego zasiłku na przetrwanie…

Kilka dni później szedłem piaszczystą ubitą drogą, gdzie na wyciągnięcie ręki rosły winogrona, a słońce grzało jakby to był wrzesień. Otworzyłem drewnianą furtkę, zaskrzypiała. Kudłaty pies nawet nie zaszczekał tylko podbiegł i łapami oparł się o mnie na znak, że mnie poznaje. Otworzyły się drzwi szeroko, jak można najszerzej i w ciemnym tle sieni stanęła moja Słowianka. Jej uśmiech witał mnie tak, jak wita się mężczyznę po powrocie do domu po dniu pracy, jakby… Zamknąłem za sobą drzwi.